

## 2 Dzień drugi — poniedziałek 22 III

### 2.1 Ewangelia (J 8,12-20)

Jezus przemówił do faryzeuszów tymi słowami: „Ja jestem światłością świata. Kto idzie za Mną, nie będzie chodził w ciemności, lecz będzie miał światło życia. Rzekli do Niego faryzeusze: „Ty sam o sobie wydajesz świadectwo. Świadectwo Twoje nie jest prawdziwe. W odpowiedzi rzekł do nich Jezus: „Nawet jeżeli Ja sam o sobie wydaję świadectwo, świadectwo moje jest prawdziwe, bo wiem, skąd przyszedłem i dokąd idę. Wy zaś nie wiecie, ani skąd przychodzę, ani dokąd idę. Wy wydajecie sąd według zasad tylko ludzkich. Ja nie sądzę nikogo. A jeśli nawet będę sądził, to sąd mój jest prawdziwy, ponieważ Ja nie jestem sam, lecz Ja i Ten, który Mnie posłał. Także w waszym Prawie jest napisane, że świadectwo dwóch ludzi jest prawdziwe. Oto Ja sam wydaję świadectwo o sobie samym oraz świadczy o Mnie Ojciec, który Mnie posłał. Na to Mu powiedzieli: „Gdzie jest Twój Ojciec? Jezus odpowiedział: „Nie znacie ani Mnie, ani Ojca mego. Gdybyście Mnie poznali, poznalibyście i Ojca mego. Słowa te wypowiedział przy skarbcu, kiedy uczył w świątyni. Mimo to nikt Go nie pojął, gdyż godzina Jego jeszcze nie nadeszła.

### 2.2 Lata 1901 – 1924, godz. 10<sup>00</sup>

Moi drodzy! Przedmiotem naszej pierwszej medytacji jest zatem dzieciństwo i młodość wielkiego Prymasa Tysiąclecia. Bardzo serdecznie chciałbym zachęcić do pewnego duchowego przedsięwzięcia. Będziemy posuwali się niemal rok po roku w dziecięcym i młodzieńczym życiu Stefana Wyszyńskiego. I bardzo serdecznie zachęcam do tego, aby słuchając tych słów wspomnieć własne dzieciństwo, przypomnieć sobie własnych rodziców, przypomnieć sobie swoje dziecinne lata i lata młode. W ten sposób między naszym rozważaniem, rozważaniem o życiu wielkiego Polaka, wielkiego Prymasa Tysiąclecia i naszym własnym życiem, będzie bardzo indywidualna, delikatna, ale jakże ważna nić. Chciałbym bowiem ukazać kardynała Stefana Wyszyńskiego przede wszystkim jego własnymi oczami, w jego własnych wspomnieniach. Starajmy się zatem żeby ten hołd, który mu oddajemy, był zarazem hołdem, który oddajemy swoim rodzicom, swoim rodzinom, i swoim bliskim, który oddajemy swojej ojczystej ziemi — miastom, osadom i wsiom, w których przyszlismy na świat, i w których dorastaliśmy, gdzie rozpoczynało się nasze życie. A więc po kolei.

Rodzice kardynała Stefana Wyszyńskiego mieli na imię Stanisław i Julianna. Matka pochodziła z rodziny, która nosiła nazwisko Karp. Była to rodzina żyjąca na Podlasiu. Ojciec przyszłego prymasa Polski był organistą. Zanim Stefan przyszedł na świat, jego ojciec sporo się przemieszczał. Jako organista pracował w Gałkówku pod Łodzią, a następnie w Prostyni na Podlasiu. Musimy pamiętać, że był to sam początek XX wieku, i że wtedy Polska znajdowała się pod zaborami. A ojciec przemieszczał się na terenie zaboru rosyjskiego. Tak jak większość, jak niemal wszyscy wykształceni ludzie, mówił dość dobrze po rosyjsku, bo tak trzeba było w rozmaitych sytuacjach. Ale mową ojczystą i ojczystą kulturą była oczywiście mowa polska i tradycja katolicka. Stefan przyszedł na świat z tego małżeństwa w Zuzeli, dokąd młode wówczas małżeństwo, Stanisław i Julianna, przenieśli się z Prostyni i osiedli. Zuzela znajduje się niedaleko od Warszawy, w kierunku na Wyszaków. Trzeba później skrócić w prawo, w okolicach Małkini. Zachęcam do tego, aby zwłaszcza w porze letniej wybrać się samochodem do Zuzeli. Zachowała się tam szkoła, do której Stefan uczęszczał jako młody chłopiec. Jest też kościół, w którym czci się jego pamięć. Wieś jest położona nad rzeką, nad Bugiem, bardzo pięknie usytuowana. Wspominał później prymas Polski, że z odległego dzieciństwa pozostał mu widok flisaków i tratw, które płynęły rzeką. Przewoziły głównie drewno, ale nie tylko. Utkwiły mu też w pamięci flisackie pieśni. Zapamiętał ten nadbużański krajobraz. Bardzo chętnie i często do niego wracał pamięcią. Mówił, że tam właśnie został ukształtowany. Wspominał też swój rodzinny dom. A w tym rodzinnym domu wystrój był taki. Mówił kiedyś:

W domu moim, nad łóżkiem, wisiały dwa obrazy: Matki Boskiej Częstochowskiej i Matki Boskiej Ostrobramskiej. I chociaż w owym czasie do modlitwy skłonny nie byłem, zawsze cierpiąc na kolana, zwłaszcza w czasie wieczornego różańca, jaki był zwyczajem naszego domu, to jednak po obudzeniu długo się przyglądałem tej Czarnej Pani, i tej Białej.

Zastanawiało mnie tylko to, dlaczego jedna jest czarna, a druga biała. To są najbardziej odległe wspomnienia z mojej przeszłości.

Wspomnienia wielkiego prymasa, które wiążą się z rodzinnym domem, z jego wystrojem, i dwoma obrazami: Matki Bożej Częstochowskiej, tej Czarnej Madonny, i Matki Bożej Ostrobramskiej, Matki Bożej Miłosierdzia, tej Madonny Białej. I u małego dziecka widzimy pierwsze pytania natury teologicznej: która z tych dwóch jest w pewnym sensie moja? Zastanawiało mnie, dlaczego jedna jest Biała, a druga jest Czarna.

Moi drodzy! Warto i trzeba dbać o katolicki wystrój swojego rodzinnego domu. Aczkolwiek mieszkamy w dużym mieście, w którym są rozmaite mody, i namiastki mody, i rozmaite trendy i tendencje, i najrozmaitsze meble, i brakuje miejsca — to rodzice, matki i ojcowie, a także dziadkowie i babcie, powinny dołożyć starania aby dzieci, i młode pokolenie, i w ogóle atmosfera rodzinna była przesiąknięta także tradycją religijną i polską. Warto i trzeba się zastanowić, czy w moim domu na widocznym miejscu jest krzyż. Warto i trzeba się zastanowić, czy w moim mieszkaniu na widocznym miejscu jest święty obraz, także obraz Najświętszej Maryi Panny. Warto i trzeba zadbać o to, aby nauczyć szacunku dla świętych wizerunków, dla świętych obrazów. Zwłaszcza tam, gdzie są dzieci, to bardzo ważne. Bo dziecku zostaje to bardzo mocno w pamięci. Jest to pierwsza lekcja wiary, a także pierwsza lekcja religii, pierwsza lekcja teologii nawet, pojmowanej na sposób dziecięcy. Warto i trzeba zastanowić się nad tym, jak wygląda moje mieszkanie, i czy ktoś, kto przychodzi do mojego mieszkania, widzi od razu, do kogo przyszedł? Czy widzi od razu, z kim ma do czynienia? Bo tam, gdzie są święte symbole to jest zarazem zobowiązanie do świętego życia. Ci, którzy prowadzą życie dalekie od ideałów chrześcijańskich, zaczynają na ogół od wstydlivego zepchnięcia bądź przysłonięcia świętych symboli. Krzyż i święte obrazy niczego nam nie ujmują. Przeciwnie — dodają nam bogactwo chrześcijańskiej tradycji. Stefan wspominał również później tak:

Mój ojciec z upodobaniem jeździł na Jasną Górę, a moja matka – do Ostrej Bramy. Razem się potem schodzili w nadbużańskiej wiosce, gdzie urodziłem się, i opowiadali wrażenia ze swoich pielgrzymek. Ja, mały brzdąc, podsłuchiwałem, co stamtąd przywozili. A przywozili bardzo dużo, bo oboje odznaczali się głęboką czcią i miłością do Matki Najświętszej. I jeżeli co na ten temat ich różniło – to wieczny dialog która Matka Boża jest skuteczniejsza: czy ta, co w Ostrej świeci Bramie, czy ta, co Jasnej broni Częstochowy.

Gdyby tylko takie spory były w chrześcijańskich rodzinach, to te rodziny są na drodze do świętości. Siłą rodziców małego Stefana były pielgrzymki. Zuzela, położona nad Bugiem, leży mniej więcej w połowie drogi między Wilnem i Ostrą Bramą, a Jasną Górą i Częstochową.

Moi drodzy! Mając dzieci małe, mając wnuki, mając dzieci w rodzinach dobrze jest pomyśleć, by odbyć kiedyś z nimi pielgrzymkę do jednego z tych dwóch sanktuariów, a może i do obydwu. Dzisiaj także dojazd do Wilna nie sprawia żadnych trudności, bo nawet nie ma granicy. Można pomodlić się w Ostrej Bramie tak, jak modlili się nasi przodkowie. Do Częstochowy — jeszcze łatwiej. Dzieci które dorastają, rodziny, które chcą być zintegrowane, powinny mieć takie punkty odniesienia, powinny mieć takie miejsca symboliczne, które je integrują i łączą. Mamy także inne sanktuaria maryjne w naszej ojczyźnie, powstałe czy rozkwitłe zwłaszcza w ostatnich latach, jak choćby Licheń. Warto i trzeba budować tam swoją wiarę. Warto i trzeba budować tam wiarę swoich dzieci i swoich wnuków. To, co najlepsze w życiu człowieka, rozpoczyna się zazwyczaj właśnie w dzieciństwie.

Z dzieciństwa zapamiętał jeszcze kardynał Wyszyński taki epizod:

Nocą mój ojciec zabierał mnie nieraz w odległe lasy. Jechało z nim zawsze kilku miejscowych zaufanych gospodarzy. Stawiali krzyże na grobach i różnych kopcach. Wracaliśmy w zupełnym milczeniu. Nigdy nie wolno było o tym mówić ani słowa. Te różne kopce to mogiły powstańców. Mogiły powstańców, którzy wcześniej nie doczekali się krzyża. A te miejsca, to zazwyczaj rozdroża dróg, czy miejsca w pobliżu wsi i osad, gdzie nocą umieszczano krzyże.

Ten krzyż był znakiem tożsamości katolickiej i polskiej. Ojcowie zabierali swoich synów, nawet tak małych, aby ten krzyż na zawsze w nich pozostał. Moi drodzy! W naszych czasach, w naszym pokoleniu, właśnie teraz, krzyż pozostaje znakiem sprzeciwu. Nie możemy na to pozwolić, by wyeliminować, usunąć krzyż najpierw z naszego serca, a potem z naszego krajobrazu. Trzeba nam uczynić wszystko wobec wszelkich nacisków, także tych najbardziej wyrafinowanych, pochodzących od tzw. opiniotwórczych gremiów i źródeł, od Strasburga po wszystkie inne miasta, i powiedzieć stanowczo tak, jak przyszło powiedzieć później Prymasowi Tysiąclecia: *Non possumus — Tego nie możemy!* Jeżeli usunie się z polskiego krajobrazu krzyże i kapliczki, to nie będzie to już ta sama Polska, która od ponad tysiąca lat kształtuje swoją narodową tożsamość. Jeżeli pozwolimy na to, żeby te krzyże i kapliczki zostały usunięte, przeniesione czy przysłonięte, to sprzeniewieramy się tym, którzy przez całe pokolenia, jak słyszymy — nocami, troszczyli się o to, aby znaki chrześcijańskiej tożsamości były widoczne i czczone.

Trzeba nam też się zastanowić, czy i w naszym stołecznym mieście są miejsca, które potrzebują opieki i troski. Może zaniebana figurka czy kapliczka, może krzyż. Może jakieś miejsce symboliczne, które stało się znakiem pobożności i religijności. Nie możemy pozwolić, żeby znikło, albo żeby pamięć o nim przestała być ważna. Warto i trzeba nie tylko się zainteresować, ale pójść w ślady tych, którzy troszczyli się, by ten znak chrześcijańskiej tożsamości towarzyszył naszemu życiu. „Co mi pozostało” — zastanawiał się później kardynał Wyszyński

w pamięci z tego dzieciennego okresu? Pozostał mi obraz Matki Bożej Częstochowskiej. Przed tym obrazem modlił się ojciec mój i matka.

Dzieci powinny widzieć modlących się rodziców. Modlitwa ma wielką siłę, skłania do zastanowienia. Nawet jeżeli doraźnie budzi sprzeciw, to widok modlącego się człowieka pozostaje nawet w tym, kto jest wrogiem modlitwy. Nigdy nie wiemy co będzie działo się w jego sercu i sumieniu. Nigdy nie wiemy, czy nie stanie się tak, że w jakiejś, odległej choćby przyszłości, i on zastanowi się nad widokiem człowieka, zwłaszcza bliskiego, którego kolana były zgięte do modlitwy.

Mając siedem lat Stefan poszedł do szkoły. Szkoła była w Zuzeli. Był rok 1908. Uczył się dość dobrze. Miał już wtedy trzy siostry. Czwarta miała wkrótce się narodzić, a następna, piąta, zmarła przy narodzeniu, a wraz z nią i matka. Mówił, że zna kobiety dostatecznie dobrze dlatego, że był razem z kobietami wychowany, wychowany razem z siostrami. Za swojego dzieciństwa pamięta taki wyczyn urwisa, który na zawsze pozostał mu w pamięci. Mianowicie jego siostry miały lalki. I przyszło mu do głowy żeby zajrzeć, co te lalki mają w środku. A kiedy rozpruł lalki, i kiedy zobaczył, że je zniszczył, to wrzucił je do pieca. Siostry bardzo rozpaczały z powodu tych lalek. Szukano winowajcy. Kiedy ojciec ustalił winowajcę i zamierzał go surowo, przykładowie ukarać, to siostry w płacz i krzyk. Zrobiły parawan ze spódniczek, zastawiły go sobą, i nie pozwoliły ruszyć. Od tej pory między nim, a siostrami, była silniejsza niż kiedykolwiek więź. Kochali się bardzo, i według tych wspomnień był to chyba najbardziej dramatyczny epizod z jego dzieciństwa, który zakończył się właśnie zbudowaniem takiej siostrzanej przyjaźni.

W 1910 r., gdy Stefan miał 9 lat, ojciec przeniósł się do Andrzejewa. To jest parafia w sąsiedztwie Ostrowii Mazowieckiej, na granicy Mazowsza i Podlasia. Tam nadal był organistą. Stefan przyjął pierwszą komunię świętą w kościele w Andrzejewie. Kilka miesięcy później zmarła jego matka. Matka miała 33 lata i zmarła wydając na świat kolejną córkę. Stefan pozostał półsierotą. Jest w tym podobieństwo do losu Karola Wojtyły, którego również bardzo wcześnie matka osierociła. W następnym roku ojciec Stefana ponownie się ożenił z Eugenią Godlewską, która była przyjaciółką jego matki. Uczynił tak przede wszystkim ze względu na dzieci – kilkoro dzieci wymagało opieki. I nowa matka, macocha, w tych warunkach okazywała dzieciom wiele serca. Ale zwłaszcza dla chłopca, zwłaszcza dla syna, matka i nowa mama to już nie jest dokładnie to samo.

Dzisiaj mamy bardzo często do czynienia z sytuacjami, gdy dzieci są zmuszane do swoistej zmiany swoich rodziców. Największą plagą jest nie tyle śmierć młodych kobiet czy mężczyzn, ojców i matek, ale rozwody. Trzeba nam pamiętać, że podczas rozwodów to dzieci cierpią najbardziej. Jeżeli mamy w swoich rodzinach takie sytuacje, trzeba okazywać dzieciom wiele serca, wiele dobra, wiele miłości. Trzeba im zastąpić ojca, czy zastąpić matkę, okazać ciepło którego nie mają stąd, skąd go mieć powinny. Dla Stefana śmierć matki była bardzo wielkim ciosem. W 1912 r. ojciec

postanowił, że Stefan będzie kontynuował swoją naukę. Kontynuował ją w Warszawie, został posłany do Gimnazjum im. Wojciech Górskiego. Przebywał w Warszawie w latach 1912 – 1915. O tym okresie swojego życia wspominając to, co wydarzyło się w Warszawie, mówił tak:

Moją szkołą zawsze jednak pozostanie we wspomnieniach szkoła Wojciech Górskiego w Warszawie. Jest to znamieną instytucją dla młodego ucznia, który może żyć w niezgodzie z nią jako uczeń, ale jako dorosły człowiek pamięta tylko same miłe rzeczy i sprawy. Podobnie myśli się o matce rodzonej, której najbardziej samodzielny umysł nie umie przypisać żadnych braków.

Wyjeżdżając do Warszawy był wyposażony przez rodzinę w miłość do własnej ojczyzny, do tradycji ojczyściej i do historii. Zanim wyruszył do Warszawy otrzymał od ojca staranną lekcję patriotyzmu. Wspominał to tak:

Mając lat dziesięć po raz pierwszy dostałem do ręki w domu mojego ojca książkę ukazującą historię Polski pod tytułem: Dwadzieścia cztery obrazki. Oczywiście była to książka zabroniona, nie wolno jej było przechowywać w domu. Ale mój ojciec był człowiekiem tak oddanym sprawom Narodu, że narażając się na prześladowanie nie lękał się uczyć swoich dzieci historii Polski, choćby potajemnie. W tej właśnie książce znalazłem elewację bazyliki Świętego Wojciecha w Gnieźnie. Już wtedy się w niej rozkochałem, chociaż nie wiedziałem, co będzie dalej. Ale ziarno gorczyczne, gdy wpadnie w duszę człowieka, trzyma się wiernie i towarzyszy mu przez całe życie. Wcześniej poznałem dzieje św. Wojciecha, Bolesława Chrobrego, Dąbrowki, św. Bogumiła — dzieje naszego narodu ciągnące się przez tysiąc lat.

Moi drodzy! W tamtych czasach podstawowy nurt wychowania, edukacji, stanowiła rodzina. Obok rodziny – szkoła. Środki masowego przekazu, jakie wtedy były, to tylko gazety – miały znaczenie peryferyjne. W naszych czasach role się odwróciły. Główny nurt edukacji i wychowania stanowią środki masowego przekazu, w nich przede wszystkim internet i telewizja. Drugi nurt stanowi szkoła, a dopiero trzeci nurt — rodzina. Dopóki tak będzie, i jeżeli tak będzie, wychowanie zawsze będzie kulało. Bo oznacza to, że wychowanie swoich dzieci i młodzieży powierzamy innym. Tymczasem nie jest tak, że wokół siebie i wśród nas mamy samych tylko przyjaciół. Nie jest tak, że wszyscy myślą w kategoriach polskich i patriotycznych. Obowiązkiem chrześcijańskich rodziców, obowiązkiem chrześcijańskich dziadków i babci, jest troska również o patriotyczne wychowanie dzieci. Zwłaszcza tu, mieszkając w Warszawie, mamy sposobność do tego. Warto i trzeba zabierać dzieci ze sobą, pokazywać im pamiątki ojczyście, kościoły, pomniki. Mówić o tym, co przeszła Warszawa, czego doświadczyła, jak bardzo tragicznego losu. Zatrzymywać się z nimi przy tablicach upamiętniających rozstrzelanie Polaków. Zadbać o czystość tych miejsc, postawić tam świeczkę, położyć kwiaty. Uzmysłować dziecku, uwrażliwić je na to, co wydarzyło się na tej umęczonej ziemi. To jest prawdziwy patriotyzm, i to jest prawdziwa chrystusowa wiara, która uczy szacunku dla naszej przeszłości.

Gdy Stefan przebywał w Warszawie, miał tutaj miejsce taki oto epizod. Chodzili się bawić do Parku Saskiego. Kiedy przyjdzie maj warto pójść tam na przechadzkę i przypomnieć sobie ten epizod. W Parku Saskim był usypany kopiec, i na tym kopcu bawili się chłopcy, a dziewczynki – niżej. I oto pewnego dnia Stefan przyszedł z grupą gimnazjalistów, mieli wtedy po 13, 14 lat. A na kopcu były dzieci rosyjskie, bo Warszawa, ta część Polski pozostawała pod zaborem rosyjskim. I wtedy w chłopców polskich wstąpił duch walki. I zaczęli odbijać ów kopiec z rąk dzieci rosyjskich. I udało im się to, i odbili ten kopiec. A w tym poczuciu zwycięstwa, na tym szańcu w Parku Saskim, Stefan dał kawałek swojej koszuli i swój czerwony krawat, i tak zrobiono polską flagę. Po czym trzeba było szybko uciekać. Oto co daje dobre wychowanie w domu. Nawet wtedy, kiedy człowiek jest z dala od domu, pozostaje sobą. I przychodzą mu do głowy pomysły w których przewija się, staje się widoczne coś, czego wyobrazić sobie w normalny, w zwyczajny sposób, nie można. Oto skutek tej lekcji patriotyzmu, którą otrzymywał dużo wcześniej.

W 1915 r. powrócił do swojego domu. Trwała I wojna światowa. Ponieważ front się przesunął, nie można było wracać do Warszawy. I ojciec wysłał swojego syna do Łomży. W Łomży przebywał przez

dwa lata w gimnazjum handlowym, były to lata 1915 - 1917. Miał wtedy 15 - 16 lat. Zaangażował się dalej w pracę patriotyczną, w harcerstwo. Wspominał, że często udawali się do pobliskiego Drozdowa — to osada w pobliżu Łomży. I tam podejmowali rozmaite harcerskie przedsięwzięcia patriotyczne. Uczył się miłości do Polski wtedy, kiedy Polski jeszcze nie było. A gdy skończył gimnazjum, udał się do liceum Piusa X we Włocławku.

Wtedy też powiedział ojcu, że pragnie być księdzem. Ojciec był nie tyle temu niechętny, co się obawiał. Na co dzień pracował z księżmi. Widział życie parafialne, widział życie księdza. Widział, jak wygląda, widział wszystkie jego blaski, widział zapewne większość jego cieni. Dlatego polecił, by Stefan bardzo się nad tym zastanowił. Ale Stefan powiedział, że od dziecka przychodziła mu jedna tylko myśl — aby być księdzem. I mówił, że kiedy był mały to miał taki sen, że go ożeniono. I wtedy przez sen płakał — bo skoro ożenił się, to nie będzie mógł być księdzem. Więc kiedy się obudził, to był bardzo szczęśliwy. Te wszystkie dziecinne wspomnienia układają się w pewien ciąg, w którym obecny jest Pan Bóg na sposób, którego nie można przewidzieć.

Wstąpił do seminarium duchownego we Włocławku, był rok 1919. Uczył się dobrze i pilnie. Seminarium ówczesne trwało cztery lata. Przygotowywał się do kapłaństwa razem ze swoimi kolegami. Wyznaczono święcenia kapłańskie na 29 czerwca 1924 r. Przygotował wtedy Stefan, tak jak i pozostali jego koledzy, obrazki prymicyjne. Mam tutaj ze sobą, jak relikwie, dwa obrazki prymicyjne z prymicji, które miały się odbyć w kościele we Wrociszewie w lipcu 1924 r., gdzie w tym czasie pracował ojciec Stefana, nadal jako organista. To niezwykła pamiątka, te obrazki prymicyjne. Chciałbym je przeznaczyć dla muzeum Jana Pawła II i kardynała Stefana Wyszyńskiego. Niezwykła pamiątka dlatego, ponieważ tych prymicji nie było. Jest tutaj data:

Pamiątka mszy świętej prymicyjnej, którą odprawił ks. Stefan Wyszyński w kościele parafialnym we Wrociszewie dn. 6 lipca 1924 r.

ale on wtedy nie był kapłanem, nie odprawił tych prymicji. Dlaczego? Bo na kilka tygodni przed święczeniami zapadł na ciężką chorobę, na gruźlicę. Wszyscy jego koledzy zostali wyświęceni 29 czerwca. A jemu święcenia odłożono. Dopiero kiedy stan jego zdrowia się polepszył, zaczęto rozważać sprawę święceń. Postanowiono udzielić mu tych święceń, samemu jednemu, 3 sierpnia, a więc w jego urodziny, w 1924 r. Odbyły się te święcenia kapłańskie w zupełnej samotności. Dlatego później przekreślał „we Wrociszewie” — pisał „na Jasnej Górze”, i przekreślał „6 lipca” — zmieniał na „5 sierpnia”. Tamtych obrazków prymicyjnych zachowało się więcej, tych, wg. mojej wiedzy, nie ma. Swoje święcenia kapłańskie wspominał tak:

Święcenia otrzymałem z rąk biskupa Owczarka, gruźlika, w kaplicy Matki Bożej Częstochowskiej w bazylice katedralnej włocławskiej. Byłem święcony sam. Moi koledzy 29 czerwca poszli na święcenia, a ja — do szpitala. Tam ledwo uszedłem śmierci. W czasie moich święceń modliłem się, abym mógł być kapłanem przynajmniej jeden rok. Gdy przyszedłem do katedry po święcenia, stary zakrystianin powiedział do mnie: „Proszę księdza, z takim zdrowiem to chyba raczej trzeba iść na cmentarz, a nie po święcenia!” Tak wszystko się układało, że tylko miłosierne oczy Matki Najświętszej patrzyły na ten dziwny obrzęd który miał miejsce, gdy wygodniej było mi leżeć i bałem się chwili, gdy już będę musiał wstać. Bo nie wiedziałem, czy utrzymam się na nogach.

Oto droga do kapłaństwa wielkiego Prymasa Tysiąclecia. Sam jeden w kaplicy, ze słowami, które zapamiętał na całe życie: „Proszę księdza, z takim zdrowiem to chyba na cmentarz, a nie po święcenia!” Ale to Pan Bóg pisze ludzkie biografie i ludzkie życie, nie ludzie. Dwa dni później ks. Stefan Wyszyński udał się na Jasną Górę. Nie mógł sprawować prymicji tam, gdzie były zaplanowane, sprawował je u stóp Najświętszej Maryi Panny. Od tej pory jego pobożność stała się jeszcze bardziej maryjna. A ten czas przed święczeniami wspominał tak:

Z największą radością wracam do miejsca swego urodzenia, jak również do miejsca urodzenia moich ojców i dziadków. Wyobrażam sobie, jak było wtedy, gdy oni żyli, jakie były warunki ich bytowania, jaka była dola, jak wtedy smakował chleb, czy nie brakło go, i czy był należycie uszanowany. Odwiedzałem swojego stryja w jego gospodarstwie.

Pamiętam, na stole leżał czarny chleb, i zachętę: „Jedz! Czym chata bogata, tym rada!”. Ostatni raz byłem tam w 1923 r., na kilka miesięcy przed moimi święceniemi kapłańskimi. Żyła jeszcze moja babunia, staruszka. Poprosiłem ją o błogosławieństwo na drogę kapłańską. Ta prosta kobieta żegnając mnie powiedziała: „Pamiętaj! Jeżeli będziesz złym księdzem, to mi się na oczy nie pokazuj!” Wojna nie pozwoliła być mi na jej pogrzebie. Ale to, co powiedziała w przedziwnej mądrości człowieka prostego, lecz wierzącego, zapadło mi w duszę. Do dzisiaj dobrze to pamiętam, i nigdy nie zapomnę. Te proste, lecz zdecydowane słowa kobiety chrześcijańskiej miały wielkie znaczenie dla całego mojego osobistego życia.

Kościół zawsze potrzebuje kapłanów, ale zawsze potrzebuje dobrych i świętych kapłanów. Dlatego trzeba się o to starać, trzeba w tym pomagać, trzeba o to się modlić. Dobrzy kapłani nie biorą się znikąd, nie są darem niebios. Są owocem modlitwy, ofiary, pobożności i dobroci wiernych.

Tak oto ks. Stefan Wyszyński otrzymał święcenia kapłańskie. I owe święcenia kapłańskie dopełnił mszą św. prymicyjną na Jasnej Górze. Tak skończyła się jego wczesna młodość, a zaczęła się młodość nowa. Ale ten etap jego biografii będziemy rozważać po południu. Ile pięknej nauki dla nas wynika z tego dzieciństwa, z jego obrazu, i młodości. Ile można — i trzeba — się nauczyć. Zwłaszcza my dorośli, jakże nowymi oczami trzeba spojrzeć na swoją rodzinę, na swój dom rodzinny, na wystrój swojego domu, na pamiątki ojczyste i chrześcijańskie, które są wokół nas, na historię. Jakże nowymi oczami trzeba patrzeć na dzieci i młodzież, które potrzebują dobrego przykładu, które potrzebują męstwa, dobroci, oddania, chrześcijańskiej dojrzałości.

### 2.3 Lata 1924 – 1946, godz. 19<sup>00</sup>

Moi drodzy! Podzieliliśmy tegoroczne rekolekcje na sześć konferencji. A każda z tych konferencji poświęcona jest jednemu etapowi życia Sługi Bożego kardynała Stefana Wyszyńskiego, abyśmy mogli się jego życiem, jego nauczaniem budować i karmić. Rano rozważaliśmy jego dzieciństwo, jego młodość do czasu otrzymania święceń kapłańskich. Mówiliśmy o Zuzeli, w której przyszedł na świat jako syn organisty. Potem o Andrzejewie, dokąd przeniósł się ojciec, kiedy on miał lat zaledwie osiem. I rok później, gdy miał dziewięć lat, niedługo po przyjęciu pierwszej komunii świętej, umarła mu matka. Pozostał z ojcem i z siostrami. Ojciec wkrótce, w następnym roku, ożenił się z przyjaciółką mamy Stefana, i odtąd ona była za matkę. Mówiliśmy o tym, w jakiej patriotycznej, chrześcijańskiej atmosferze wychowywał się mały Stefan. Od małego towarzyszy mu obraz Matki Bożej Częstochowskiej, Matki Bożej Ostrobramskiej. A jedna z jego pierwszych wątpliwości religijnych dotyczyła tego, dlaczego na jednym wizerunku Maryja jest biała — ta Ostrobramska, a na drugim Madonna jest czarna, ta Częstochowska. Matka pielgrzymowała do Ostrej Bramy, ojciec do Częstochowy. I po pielgrzymkach opowiadali sobie, po powrocie do domu, co przeżyli.

Mówiliśmy o głębokim wychowaniu patriotycznym i historycznym, które otrzymał od ojca poznając historię Polski. Gdy skończył szkołę podstawową, rozpoczął naukę w gimnazjum w Warszawie, Gimnazjum Górskiego. Tutaj jego patriotyzm nadal bardzo wyraźnie się kształtował. Powrócił do domu rodzinnego, ale trwała już I wojna światowa. Front się przesunął, i powrót do Warszawy był niemożliwy. Udał się zatem do Łomży, i tam kończył naukę w gimnazjum. A w pobliskim Drozdowie, będąc harcerzem, nadal uczył się patriotyzmu. Potem wstąpił do seminarium duchownego. We Włocławku odbył studia, które przygotowywały do kapłaństwa. Przygotował obrazki prymicyjne, i dzień prymicji został wyznaczony na 29 czerwca 1924 r. Do dzisiaj zachowały się obrazki prymicyjne z tą właśnie datą. Ale tego dnia diakon Stefan Wyszyński święceń kapłańskich nie otrzymał. Otrzymali je wszyscy jego koledzy, a on był zmożony bardzo ciężką chorobą. Po latach tak wspominał o tym wydarzeniu:

Święcenia otrzymałem z rąk biskupa Owczarka, gruzlika, w kaplicy Matki Bożej Częstochowskiej w bazylice katedralnej włocławskiej. Byłem święcony sam. Moi koledzy 29 czerwca poszli na święcenia, a ja — do szpitala. Tam ledwo uszedłem śmierci. W czasie moich święceń modliłem się, abym mógł być kapłanem przynajmniej jeden rok. Gdy przyszedłem do katedry po święcenia, stary zakrystianin powiedział do mnie: „Proszę księdza, z takim zdrowiem to chyba raczej trzeba iść na cmentarz, a nie po święcenia!”

Tak wszystko się układało, że tylko miłosierne oczy Matki Najświętszej patrzyły na ten dziwny obrzęd który miał miejsce, gdy wygodniej było mi leżeć i bałem się chwili, gdy już będę musiał wstać. Bo nie wiedziałem, czy utrzymam się na nogach.

Tak opisuje przyszły niezłomny Prymas Tysiąclecia święcenia kapłańskie, które przyjął 3 sierpnia 1924 r., a więc dokładnie w dzień swoich urodzin. Miał wtedy 23 lata — potrzebował tzw. dyspensy czyli pozwolenia biskupa, bo normalny wiek przewidziany do święceń kapłańskich wynosi 24 lata. Jeszcze przez dwa miesiące przebywał w szpitalu. Ale nazajutrz po święceniach udał się na Jasną Górę i tam, dwa dni później, sprawował prymicyjną mszę świętą. Pozostał mu zawsze w pamięci obraz Matki Bożej Jasnogórskiej, z którą od tej pory był już związany przez całe życie.

Gdy doszedł do zdrowia mianowano go wikariuszem parafii katedralnej we Włocławku. Dał się poznać już w seminarium, a następnie jako młody neoprezbiter, nie tylko ze słabego zdrowia, ale także z wielkiej wrażliwości społecznej. Pochodził ze wsi. Wiedział, co to znaczy chleb. Opisywał w swoich wspomnieniach jak to patrzył na ludzi, którzy stali nad dzieżą, i mówił o tym tak:

Patrzyłem nieraz w swoim rodzinnym domu, dawne to czasy, jak wyrabia się chleb w dzieży. Do dzieży spływał pot z czoła. Człowiek się uczciwie napracował, zanim wyrobił chleb.

Od początku był nauczony szacunku dla pracy, dla chleba, i dla prostego człowieka. Zauważono to już po jego święceniach, i został skierowany na studia na Katolicki Uniwersytet Lubelski. W tym okresie Polska ledwie wybiła się na niepodległość. Wszystko po 123 latach niewoli, zaborów, powstawało z gruzów. Było kilka w Polsce wydziałów teologicznych, które się wtedy liczyły: na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, na Uniwersytecie Jagiellońskim, na Uniwersytecie Warszawskim, i wreszcie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Został skierowany na studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, ale nie na teologię — co było wtedy swoistym wyjątkiem — lecz na naukę, która miała otrzymać wkrótce nazwę *katolickiej nauki społecznej*. Studiował ekonomię, studiował socjologię, nauki społeczne, studiował prawo, przez cztery lata. Wszystko to odbywało się w II połowie lat 20., kiedy Europa i świat przeżywały coraz bardziej pogłębiający się kryzys ekonomiczny, kiedy na terenie Rosji swój krwawy plon zbierała rewolucja bolszewicka, kiedy w Niemczech po I wojnie światowej wzmagaly się tendencje rewizjonistyczne. W Polsce dobrze rozumiano że, aby przetrwać, trzeba było zrozumieć te procesy, które zachodziły, i trzeba było się do nich przygotować.

Stefan Wyszyński pisał swój doktorat. Miał go gotowy w czerwcu 1929 r., miał wtedy 28 lat. Tytuł jego pracy doktorskiej brzmiał: *Prawo rodziny, Kościoła, i państwa do szkoły*. Jakże bardzo aktualny po dzień dzisiejszy — trzy komórki życia społecznego: rodzina, Kościół, i państwo. I jak mają się do szkoły, do nauczania, do edukacji, do kształtowania sumień dzieci i młodzieży? Z tym doktoratem przeżył osobliwość wielką. Oto podczas obrony doktoratu rozgorzała dyskusja wśród profesorów, którzy w tej obronie brali udział. Doktorant Stefan Wyszyński przedstawiał swój punkt widzenia na stosunek władzy świeckiej do władzy religijnej, na miejsce biskupa, i na relację biskupa z prawem świeckim. Okazało się, że punkt widzenia doktoranta różnił się od punktu widzenia jego wykładowców. Kiedy powstawała coraz większa różnica zdań, wówczas doktorant Stefan Wyszyński wyjął dokument, który otrzymał z Biura Episkopatu, którego nauczyciele jego, profesorowie, nie znali. I to, co miało działać na jego korzyść, zadziało przeciwko niemu. Powstała jeszcze większa różnica zdań, jeszcze większe rozdzielenie. Do tego stopnia, że zastanawiano się, czy w ogóle dać mu doktorat. W końcu po długiej i dość gorącej dyskusji zapanował pogląd, że jeżeli chodzi o obronę, to doktorant jest bardzo odważny. Ale nie można mu odmówić doktoratu zważywszy na całość jego pracy, i na jego postawę na studiach. W sumie dano mu *cum laude* czyli słabą czwórkę, chociaż były do dyspozycji lepsze stopnie. Jeszcze tego samego dnia po Lublinie rozniosła się wieść, że dr Stefan Wyszyński został skrzywdzony. Wieści te dotarły do Wydziału i do jego wykładowców. Nazajutrz został wezwany przez przełożonego i dość surowo upomniany, że nie powinien kwestionować przebiegu i oceny, werdyktu, który jego profesorowie wydali. Wtedy napisał list. List, w którym wyraził swój własny punkt widzenia, w którym postanowił się bronić. W którym powiedział, że nie chciał nic złego jak tylko to, by podzielić się wiedzą, jaką posiadał. List ten przedstawił swojemu przewodnikowi duchowemu, którym był ks. Władysław Kornilowicz,

z którym właśnie na studiach na KUL-u bardzo się zaprzyjaźnił. Ks. Kornilowicz powiedział mu: „Stać cię na napisanie drugiego listu, a ten wyrzuci! Napisz drugi — taki, jaki powinieś napisać.” I ks. dr Stefan Wyszyński napisał drugi list. W tym liście podziękował za to, czego nauczył się na Wydziale od swoich nauczycieli, profesorów i wychowawców, a najbardziej za to, czego nauczył się podczas obrony doktoratu. I ten list przekazał. Tego dnia ks. Kornilowicz dał mu książkę z takim wpisem: *Stefkowi, w dniu podwójnie zdanego doktoratu*. Tę książkę przysły prymas przechowywał w swojej bibliotece bodaj do końca życia.

Życie ludzi bywa przedziwne. Czasami tylko, kiedy patrzymy na to, co zewnętrzne, wydaje nam się, że jest łatwe. Ale Bóg przedziwnie prowadzi tych, których wybiera. Także, jak widać, i jego życie obfitowało w trudności. Ale wyszedł z nich zwycięsko, także dlatego, że w okresie studiów bardzo związał się z młodzieżą, zwłaszcza ze Stowarzyszeniem Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”. Był bardzo wrażliwy na problemy młodzieży, a także na biedę, na ubóstwo.

Gdy z doktoratem wrócił do Włocławka, biskup pozwolił mu na odbycie naukowej podróży. Rozpoczął tę podróż późnym rokiem 1929-tym, i przez wiele miesięcy roku 1930. Udał się do Austrii, a potem do Rzymu. Następnie do Francji, do Belgii, do Holandii, i przez Niemcy powrócił do Polski. W każdym miejscu się uczył. W Rzymie uczył się wielkiego miasta i Wiecznego Miasta. Uczył się przywiązania do Stolicy św. Piotra. W Paryżu i Francji widział wielkie ruchy społeczne, które wtedy powstawały, i które wtedy również miały swoje oddziaływanie i wpływy w Kościele. Wspominał z wielkim rozrzewnieniem swój pobyt w Belgii, gdzie spotkał górników polskich, którzy pracowali tam w kopalniach. Pewnej niedzieli odprawił dla nich mszę świętą. I ci utrudzeni ludzie, był to rok 1930, przyszli do niego z płaczem mówiąc, że po raz pierwszy brali udział w polskiej mszy świętej. A jaka ona była polska, skoro była sprawowana po łacinie? A jednak była polska, bo po raz pierwszy dla nich sprawował ją kapłan z Polski. Zrozumiał ks. dr Wyszyński potrzebę obecności kapłanów przy człowieku pracującym. Ta potrzeba towarzyszyła mu do samego końca jego życia.

Kiedy wrócił do Polski był już na tyle wykształcony, i na tyle przygotowany, że mógł objąć pracę wikariusza w parafii w Przedczu Kujawskim. Była to osobliwa parafia, bo można tam było dojechać tylko końmi, i to nie przez cały rok. Kiedy były roztopy wiosenne, trzeba było iść piechotą. On, który miał za sobą i studia, i doktorat, i objazd zagraniczny, rozpoczął znów od pracy duszpasterskiej, i to na jednej z najmniejszych wioseczek. Przypomina nam to podobne losy Karola Wojtyły po jego powrocie z Rzymu, i jego parafię nieopodal Krakowa, jego pracę w parafii w Niegowici. Przedziwnie, raz jeszcze, Bóg prowadzi tych, dla których ma, i co do których ma swoje plany. Jedni robią w Kościele karierę szybką i łatwą. Jest to kariera, za którą stoją ludzie. Inni robią w Kościele karierę trudną i powolną. I za tą ich życiową drogą stoi Pan Bóg. Zdarza się, że Bóg wygrywa z ludźmi. I wtedy ci, których On prowadzi, mają do spełnienia zupełnie wyjątkową rolę, i mają przeogromny wpływ na losy innych.

Po kilku miesiącach pracy wikariuszowskiej w tej wiosce, wspomianej zresztą z rozrzewnieniem przez późniejszego prymasa, został skierowany do Włocławka z poleceniem wykładania w tamtejszym seminarium duchownym. W 1933 r. powierzono mu posadę redaktora naczelnego czasopisma przeznaczonego dla kapłanów, które ukazuje się do dzisiaj. Jego tytuł jest „Ateneum Kapłańskie”.

W tym okresie ks. dr Stefan Wyszyński związał się w szczególniejszy sposób z ludźmi potrzebującymi wsparcia. Już wcześniej jako wikariusz, tuż po święceniach, był katechetą w szkole zawodowej przy włocławskiej Celulozie. Widział chłopców przygotowujących się do trudnej robotniczej pracy. Teraz, kiedy wrócił z zagranicy, dobrze wiedział jaki jest los robotników. Związał się także z ziemianami, którym przypominał konieczność dobroci dla chłopów i dla tych, którzy pracowali w wielkich gospodarstwach. Założył Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy. Współtworzył również i działał w Chrześcijańskich Związkach Zawodowych. Dopominał się głośno o prawa ludzi biednych. Z tego tytułu nie zawsze był dobrze widziany w rozmaitych kręgach. Chrześcijańskie Związki Zawodowe, w których działał, zbliżyły się nawet ze związkami zawodowymi o proweniencji świeckiej. Zarzucano mu, że to zbliżenie jest zbyt wielkie.

Jednocześnie atmosfera wokół Polski gęstniała. Na Wschodzie pojawiła się, i już okrzepła na dzieściu milionach trupów zamordowanych w Rosji, rewolucja bolszewicka i ideologia komunistyczna. Komunizm miał to do siebie, że był międzynarodowy. Znamy pieśń, że „związek nasz bratni ogarnie ludzki ród”. Na przeszkodzie stanęła Polska w lecie 1920 r. Przeszkodziła w marszu do Niemiec

i zjednoczeniu się z tamtejszymi Republikami Rad — nie doszło do tego. Dlatego komunizm stał się w latach 20. i 30. wyraźnie antypolski. Tuchaczewski, który był później marszałkiem Związku Radzieckiego, wołał: „Po trupie Polski do rewolucji międzynarodowej!” Ks. dr Wyszyński dobrze wiedział, co szykuje się na Wschodzie. Dobrze wiedział, jak bardzo śmiercionośna jest ta ideologia komunistyczna. Pisał o tym i mówił.

Ale na Zachodzie była ideologia nie mniej śmiercionośna. Już nie międzynarodowa, ale narodowa — „Nazionalsocialismus”, „narodowy socjalizm”. Nawet tej nazwy po wojnie nie chciano wymawiać, bo jakże to socjalizm może być narodowy? Żeby ją zamazać mówiono „hitleryzm”, a w najlepszym razie „nazizm”. Na sztandarze narodowego socjalizmu był „Volk” — „naród”, i „Deutschland, Deutschland über alles”. Wszyscy inni, to podludzie. Ta ideologia wyrastała z ducha sięgającego XVIII w, karmiona wiekiem XIX i rozczarowaniem I wojny światowej, a potem dojściem Hitlera do władzy. Była tak samo antypolska, jak komunizm. Otto Schirach, który był ministrem III Rzeszy, powiedział kiedyś, że trzeba uwolnić Niemcy od Polaków, Rosjan, Żydów i Cyganów. I przedstawiano wszystko na podobieństwo piramidy. Na samej górze Niemcy, a niżej inne ludy i narody. Jeszcze niżej: Słowianie, a najniżej: Żydzi i Cyganie. Plan ludobójstwa został sporządzony dużo wcześniej.

Ks. Wyszyński doskonale się w tym wszystkim orientował. Dobrze wiedział, jak śmiertelne niebezpieczeństwo wisi nad naszą Ojczyzną. Dlatego wzywał do odrodzenia moralnego wewnątrz Polski. Do usunięcia niesprawiedliwości, które dzieliły robotników i pracodawców, które dzieliły panów i zwyczajnych chłopów. Wołał o sprawiedliwość, żeby można było zjednoczyć się wtedy, kiedy będzie potrzebna jedność narodu. Pisał, wygłaszał referaty i wykłady, spotykał się z ludźmi, spotykał się z księżmi. Działal jak mógł, był bardzo aktywny. Wspominał ten czas później, z jakiejś perspektywy, w ten sposób. Powiedział tak:

Zapewne trzeba walczyć o swoje prawa, o słuszną zapłatę. Jest przecież teoria w katolickiej nauce społecznej, teoria tzw. zapłaty rodzinnej. Ale trzeba pamiętać, że pracuje człowiek. Czy na dnie kopalni, czy w stoczni, czy w hucie, czy gdziekolwiek — pracuje człowiek, Boży człowiek, o wysokiej godności. Pierwsza wartość podstawowa w narodzie i w państwie.

To był jego program społeczny. Program społeczny, którego centrum był człowiek. Tak pozostało do końca jego życia, również wtedy, kiedy narodziła się *Solidarność*. I jeszcze jedno. Tak wspominał swoją pracę w Sodalitacji Mariańskiej Ziemi:

Miałem kilkuset ziemian - ludzi starszych i młodszych, którym starałem się w ramach wykształcenia religijnego podawać zasady katolickiego myślenia społecznego, między innymi w sprawie uwłaszczenia chłopów. Kościół był zwolennikiem uwłaszczenia i poszerzenia stanu posiadania, zwłaszcza gdy idzie o gospodarstwa karłowate — odnosiło się to głównie do południowo - wschodniej części naszej Ojczyzny — do gospodarstw pełnowartościowych. Próbowałem na mocy zasad chrześcijańskiej nauki społecznej uczyć, jak właściciele dóbr mają odnosić się do ludności pracującej w folwarkach i majątkach ziemskich. Zasady te były przez nich przyjmowane z chrześcijańską uległością i owocnością.

Były przyjmowane przez członków Sodalitacji Mariańskich. Ale przecież nie wszyscy do tej Sodalitacji należeli, i nie wszyscy ten punkt widzenia podzielali. Dlatego też nie brakło niechęci wobec niego. Uważano, że jest zbyt bliski robotnikom i chłopom. Uważano, że Kościół, który proponuje, to Kościół biednych. Tymczasem Kościół, żeby przetrwać, musi mieć — mówili bogaci. To były lata 30. Temu poświęcał całe swoje życie, całą swoją energię, i cały swój zapał. Mówił o tym później, już po wojnie i w swoim dorosłym życiu. Mówił o tym także wtedy, kiedy w Polsce był ten ferment społeczny. Może jeszcze jedno jego słowa, które dają nam wiele do myślenia, zwłaszcza gdy odniesiemy je do sytuacji na przełomie lat 70. i 80. Prymas wspominał tak:

Praca podjęta z własnego upodobania i popędu serca w Chrześcijańskich Związkach Zawodowych, gdzie zostawiłem i duszę, i serce, i wiele zdrowia, dawała mi wiele radości.

Jakżeż do dzisiejszego dnia pamiętam w tych szeregach braci robotniczej, którzy z pieśnią na ustach „My chcemy Boga” szła posłusznie za głosem Kościoła świętego wierząc, że w duchu wskazań społecznych tego Kościoła może zapanować na świecie prawdziwa sprawiedliwość, miłością krzepiona.

To podejście przenosił także — że wybiegniemy w przyszłość — do strajków, do sytuacji robotników na przełomie lat 70. i 80. Ufał tym, którzy wstawiając się za robotnikami mieli na ustach „My chcemy Boga”, i w sercu wartości chrześcijańskie. Nie ufał tym, którzy pod płaszczykiem przemian forsowali swoją własną przyszłość — bez Boga, a nawet przeciw Bogu. Dlatego nie cieszył się powszechnym uznaniem, bo nie wszystkim odpowiadał taki właśnie człowiek, który w samym sercu społecznych przemian chce umieścić Boga. Skutki tego widać do dzisiaj.

Gdy wybuchła II wojna światowa jego biskup, Michał Kozal, polecił ks. Stefanowi Wyszyńskiemu opuścić jak najszybciej Włocławek. Biskup doskonale wiedział, że gdy przyjdą tu Niemcy bądź Rosjanie, to tacy księża, jak on, znajdą się na pierwszej liście proskrypcyjnej. I tak było. Gdy weszli do Włocławka Niemcy i szukali ks. Wyszyńskiego, on już był u ojca we Wrocławiu. Tam rozpoczął swój okupacyjny pobyt. W tym czasie, już w październiku 1939 r. Niemcy rozpoczęły gehennę duchowieństwa polskiego. W diecezji płockiej, w diecezji włocławskiej, i w diecezji chełmińskiej, czyli wzdłuż Wisły, między Warszawą i Gdańskiem, w tym tzw. korytarzu, który tak bardzo atakowali, wymordowano  $\frac{1}{3}$  duchowieństwa polskiego, duchowieństwa katolickiego — bestialsko, bez litości, zabijając gdzie popadło, robiąc z seminariów duchownych katownie, jak Wyższe Seminarium Duchowne w Pelplinie, gdzie do dzisiaj na ścianie są ślady krwi. Wśród aresztowanych był także biskup Michał Kozal, ten, który ocalał życie ks. Wyszyńskiego. Zawieziony do obozu koncentracyjnego, wycieńczony i skatowany, umarł tam śmiercią męczeńską, i czczony jest jako święty męczennik.

A ks. Wyszyński z Wrocławia, bo było to zbyt blisko Warszawy, udał się w Lubelskie, do majątku Kozłówka. Ale gdy i tam zaczęło być coraz goręcej, przeniósł się do Żułowia, również na Lubelszczyźnie. Ale te pęta okupacji stawały się coraz trudniejsze. Powrócił więc w okolice Warszawy i przebywał w Laskach, w Zakładzie dla Niewidomych. Miał tam pseudonim *siostra Cecylia*. Zetknął się wtedy z tym nieszczęściem, jakim dla człowieka jest brak wzroku. Zrozumiał, co to znaczy zdrowie. Zetknął się również z ludźmi, którzy potrzebowali wsparcia: z żołnierzami, z powstańcami, z Armią Krajową, ze wszystkimi, którzy chronili się z Warszawy. Pomagał, był przy nich, modlił się. Najgorsze przyszło wraz z Powstaniem Warszawskim. Od początku sierpnia Warszawa coraz bardziej zaczęła płonąć. Wtedy ks. Stefan Wyszyński był już szeregowym członkiem Armii Krajowej, miał swoje zadania. Wśród nich opieka nad chorymi, przede wszystkim nad rannymi i nad umierającymi. Potem, po lach, też wspominał tę swoją kapłańską posługę. Posłuchajmy:

W okresie powstania byłem kapelanem Armii Krajowej i miałem dużo kontaktu z cierpieniem, niedolą i męką ludzką. Pamiętam operację bardzo dzielnego żołnierza, któremu trzeba było odjąć nogę. Powiedział, że zgodzi się na operację pod warunkiem, że przez cały czas będę przy nim stał. Lata pracy wśród ociemniałych, a zwłaszcza długie miesiące pracy w szpitalu powstańczym bardzo wiele mnie nauczyły. To więcej niż uniwersytet, bo to głębokie zrozumienie bliźniego, czego się na ogół z książek nie nauczy. Szacunek dla człowieka nabywa się nie wtedy, gdy widzi się go w pozycji bohaterskiej, ale gdy widzi się człowieka w udęce.

Pamiętajmy o tym, moi drodzy! Szacunek dla człowieka nabywa się wtedy, gdy widzimy człowieka w udęce. A tych ludzi, tych obrazów, tych sposobności, nigdy nie brakuje. I jeszcze jedno świadectwo z okresu Powstania Warszawskiego, wielkiego późniejszego Prymasa Tysiąclecia. Opowiadał często o 19-letnim żołnierzu AK, który miał na imię Jurek, i który został bardzo ciężko ranny nieopodal niemieckiego lotniska na Żoliborzu. Nie pomogła operacja, była to bardzo ciężka resekcja jelit. Znalazł się w Laskach, i tam ten 19-letni chłopiec w gruncie rzeczy czekał na śmierć. Skarżył się, że jest jedynakiem, i że czeka na niego matka. I że spodziewa się, że na pewno wróci — ale wygląda na to, że nie. Ks. Wyszyński mówił do niego tak:

Jurek! Byłeś taki dzielny i odważny na froncie. Nie bałeś się kul. A tutaj nikt z tobą wytrzymać nie może! To wstyd!

«A bo proszę Księdza mnie się już żyć uprzykrzyło. Ja chcę na front»

Pójdiesz, synku, niedługo, ale na front do Matki Bożej.

«A o tym nie pomyślałem.»

To pomyśl o tym. Żołnierz nie boi się śmierci. Jesteś chrześcijaninem, dla którego śmierć nie jest tragedią, lecz spotkaniem.

Po tej rozmowie Jurek uspokoił się. Już opiekunowie: siostry, kobiety tamtejsze, sanitariuszki, miały łżej. Minęło dwa tygodnie, i znów zaczęły się kłopoty. Przychodzi do niego ksiądz, i mówi ów Jurek:

«Ksiądz mi powiedział, że ja będę z Matką Bożą. A za dwa dni jest święto Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, ja nie zdążę.»

Dlaczego nie zdążysz?

«Niech ksiądz zobaczy, jaki ja jestem jeszcze silny!»

Tu Jurek chwycił księdza za rękę i ścisnął. Wyczuwałem, że w tej dłoni już siły nie było.

Nie bój się Jurku, zdążysz.

Chłopiec uspokoił się, i w wigilię święta cicho zmarł. Ktoś, kto przeżywa takie wydarzenia i jest później biskupem, i kardynałem, i prymasem, i pamięta o tym, i mówi to — z całą pewnością jest człowiekiem, któremu można i trzeba zaufać.

I jeszcze dwa wspomnienia, które dotyczą prymasa z tego okresu. Kiedy z początkiem października 1944 r. Powstanie Warszawskie upadało, wtedy Warszawa płonęła. I dymy z Warszawy unosiły się, i niósł wiatr, coraz silniejszy, jesienny, rozmaite rzeczy w stronę Izabelina i Lasek. I pewnego dnia pod wieczór wyszedł ks. Wyszyński i patrzył na lunę nad Warszawą, jak ją Niemcy systematycznie palą. I wiatr od Warszawy przynosił jakieś strzępy papieru, jakieś resztki tkanin. I w pewnym momencie pochylił się, bo zobaczył kawałek spalonego papieru. Pochylił się i przeczytał to, co pozostało na tym papierze. A pozostały słowa: *Będiesz miłował*. Czy był to fragment Pisma Świętego, czy książki liturgicznej? Kilka dni później przyszedł na piechotę do Warszawy. Warszawa już zupełnie dogorywała. Szedł tu, od katedry, w której teraz jesteśmy, która była całkowicie zburzona, w kierunku kościoła Św. Krzyża. Ale i kościół Św. Krzyża był bardzo zburzony. Pozostała tylko figura Chrystusa, która też była przewrócona, ta przed kościołem. I kiedy tak szedł przygnębiony mocno, w sutannie, to naprzeciwko niego szedł niemiecki oficer z dwoma innymi niemieckimi żołnierzami. Oficer trochę zwolnił, żołnierze poszli dalej, a ten oficer doszedł do ks. Wyszyńskiego, i powiada do niego, pośród tych ruin, pośród tych gruzów, obok tego krzyża zwalonego, i Chrystusa, który go dźwigał, powiedział mu bardzo wyraźnie: „Ist noch Polen nicht verloren” — „Jeszcze Polska nie zginęła”. To był jakiś Ślązak. I tak poszedł.

Kiedy chcemy zobaczyć ślady tej wojny, to po wyjściu z katedry, na lewo od wyjścia, można zobaczyć gąsienicę czołgu niemieckiego, czołgu - miny Goliata, który burzył mury tej katedry. Warto je zobaczyć, i warto o tym pamiętać. Warto pamiętać jakie przeogromne krzywdy, jakie szkody wyrządzili nam Niemcy. A gdy przyszli Rosjanie w 45 r., Warszawa była tak zburzona, że chciano przenieść stolicę do Łodzi. I właśnie wtedy odpowiedzią Polaków stało się *Cały naród buduje swoją stolicę!* I właśnie wtedy, na tych gruzach, które tu były, odbudowano miasto, w którym jesteśmy. Nazywa się *Stare Miasto*, ale powstało w całości pod koniec lat 40. i 50.

Gdy wojna się skończyła ks. dr Stefan Wyszyński wrócił do Włocławka i zajął się organizacją seminarium duchownego. Niedługo potem, w 1946 r., przyszła nominacja biskupia. Rozpoczął się trzeci etap jego życiowej drogi. Zajmiemy się nim jutro rano.

A jaka nauka płynie z tego, co powiedzieliśmy? Płynie z tego wiele nauk, a wśród nich takie:

- Kto wierzy w Boga, nigdy nie jest sam.
- Kto ufa Bogu, nigdy nie jest sam.
- Kto związał z Bogiem swoje życie, nigdy nie jest sam.
- I nie ma innej drogi do ojczyzny niebieskiej, niż ojczyzna ziemska. I obowiązek jej miłowania to obowiązek religijny.